

William
Kennedy



Lekcja
Masakady

William Kennedy

Lekcja Masakady

Przekład: Władysław Masiulanis

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2020

[Kup książkę](#)

1 marca, 10.00, Harrisburg

J.P. Toole zatrzymał się przy bramie i spokojnie przyglądał włosy, podczas gdy strażnik próbował trafić kluczem w zamek. Żałował, że nie dysponuje lustrem, pomocnym przy ocenie prezencji. Pierwsze wrażenie było w jego zawodzie rzeczą najważniejszą, a miał wrażenie, że czeka go rozmowa o sprawach zawodowych.

Toole był całkiem zadowolony ze swego wyglądu. Ciemne, wijące się gęste nad czołem włosy zaczesywał do tyłu, by ukryć fakt, że na czubku głowy pojawiła się, niestety, niewielka łysinka. Golił się bardzo dokładnie, na policzkach nie pozostawał więc nawet cień ciemnego zarostu nadającego mu nieco złowrogi wygląd. Wielkie niebieskie oczy, ciemne brwi i zaróżowione policzki nieźle sugerowały chłopięcą niewinność, zaprzeczając trudnym czterdziestu dwu latom, które zdążył już pozostawić za sobą. Rozczarowało go tylko, co rok bezczynności zrobił z jego ciałem. Mimo metra osiemdziesięciu wzrostu, zatraciło ono swój atletyczny zarys. Ważył wprawdzie niespełna kilogram ponad swe zwykle siedemdziesiąt pięć kilo, lecz ostatnio biodra rozszerzyły mu się i wydawał się nieco grubszy niż w młodości. Złe skrojona, krótka marynarka i luźne spodnie nadawały mu dość niechlujny wygląd. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że musi skupić uwagę rozmówcy na swym uśmiechu.

Strażnik otworzył wreszcie drzwi i odsunął się na bok. Toole dostrzegł przede wszystkim ściany pomalowane na instytucjonalny brudnobeżowy kolor i wiszące na nich seryjne olejne obrazki przedstawiające wiejski krajobraz Pensylwanii, potem także stojące tu i tam duńskie meble – brązowy plastik połączony ze orzechowym werniksem na wysoki połysk – oraz zabawny trójkątny stolik do kawy na trzech zakończonych mosiężnymi kulami nogach. „Bezuście” – pomyślał. Kiepskie tło zdecydowanie nie pasowało do siedzącego na jednym z krzeseł okazu w nienagannie skrojonym garniturze.

– Panie Toole – powiedział okaz wstając i uśmiechając się przy mocno zaciśniętych zębach, co dobitnie świadczyło o związkach z arystokracją pieniądza Wschodniego Wybrzeża. – Cieszę się, że wyraził pan zgodę na spotkanie.

– Sekretarce udało się jakoś wcisnąć pana na dziś – odparł kpiąco Toole, przyjął podaną mu dłoń i uściśnął ją mocno.

– John Cobb – oznajmił okaz. – Rozumiem, że jest pan tu bardzo zajęty, ale nie mogłem sobie pozwolić na dwa lata oczekiwania.

– Dwadzieścia dwa miesiące – poprawił go Toole. – Wiem, że na świecie to dwa lata, tu jednak czas liczy się zupełnie inaczej. Kwestia perspektywy.

– Pomyślałem, że miałby pan ochotę na spacer. – Cobb machnął ręką stojącemu w drzwiach strażnikowi. Strażnik zareagował z błyskawiczną szybkością – tak zręcznego przedstawiciela jego profesji Toole jeszcze nie widział – obracając się i prowadząc obu mężczyzn korytarzem. Cobb narzucił płaszcz na ramiona jak pe-lerynę. Idąc za jego przykładem Toole zapiał marynarkę aż pod szyję.

Rząd – pomyślał. – Biuro gubernatora. Co najmniej. Może nawet władze federalne?

Potrafił odczytać typowe sygnały. Cobb był wysoki i chudy, lecz silny, o czym świadczył uścisk dłoni. Tak na oko miał co najmniej czterdzieści parę lat, więc nie-

wątpliwie ćwiczył. Wykluczało go to z szeregów policji lub FBI; policjanci i agenci w tym wieku wszyscy mieli brzuchy. Rzadkie włosy czesał porządnie w prosty przedziałek i układał. Dobry gust, a więc nie jest niższym urzędnikiem rządowym. Reakcja strażnika dowodziła, że nie należy też do grona bankierów, których nieprzeliczone rzesze nawiedzały więzienie z nadzieją, że Toole usprawni ich system komputerowych baz danych.

Wyższe sfery rządowe – pomyślał Toole. – Bez najmniejszych wątpliwości.

W milczeniu doszli za strażnikiem aż do miejsca, gdzie kończył się teren więzienia. Imponujące. Wizyta na spacerunku byłaby zdumiewająca sama w sobie, ale ten gość wyprowadza więźnia poza mury!

Federalny – pomyślał Toole. – Pewnie jeden z tych upiórów z CIA albo Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

– Pracuję w Departamencie Handlu – wyjaśnił pan Cobb tonem zwykłej towarzyskiej pogawędki. Tymczasem obaj oddalali się od więzienia.

Akurat! Żaden handlarz nie poszedłby z więźniem na spacer. Zwłaszcza tak daleko.

– A dokładniej, pełnię misję specjalną z ramienia Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Powiedzmy, że zostałem wypożyczony Departamentowi Handlu.

Dziesiątka! – powiedział sobie Toole. – Z przyjemnością stwierdził, że mimo rocznych wakacji nadal zdolny jest trafić w sedno. Nie ma wątpliwości, rozmowa będzie dotyczyć kwestii zawodowych.

– Grywa pan jeszcze w pokera?

Popisuje się – pomyślał Toole. – Daje mi do zrozumienia, że odrobił lekcje.

– Czasami – skłamał. – Gra na zapalki niezbyt mnie interesuje, a tutejsi chłopcy na ogół źle znoszą porażki.

Teraz, jeśli jest naprawdę bystry, powinien zapytać o koszykówkę.

– Pozwalają wam oglądać mecze ligi uniwersyteckiej?

Doskonale – pogratulował sobie Toole.

Gawędzili tak sobie oddalając się od więzienia, schodząc po zboczach wzgórza w kierunku małego potoku. Wydawało się jasne, że Cobb pragnął wyrwać się za mury, by mieć pewność, że ich rozmowa nie jest podsłuchiwana. Teraz okazało się także, że obawia się urządzeń o większym zasięgu. Rozmowa miała więc dotyczyć najtrudniejszych kwestii zawodowych, sądząc zaś z uwag na temat pokera i koszykówki, Cobb nie miał wątpliwości, jaki zawód uprawia jego rozmówca.

J.P. Toole nie nazywał się naprawdę J.P. Toole i choćby z tego powodu nie zasługiwał na zaufanie. Naprawdę nazywał się James Patrick O'Toole i był najmłodszym synem największego klanu O'Toolów zamieszkującego irlandzkie getto nowojorskiej Rockaway Beach. James Patrick O'Toole odróżniał się od dwudziestu innych gówniarzy, noszących to samo nazwisko, cudami, które czynił, grając w koszykówkę. Mając lat trzynaście i będąc uczniem szkoły św. Krzysztofa grał w mistrzostwach miasta w reprezentacji Młodzieżowej Organizacji Katolickiej. Nie był szczególnie wysoki, nie był szczególnie szybki, ale samym tylko spojrzeniem mylił przeciwnika, sugerując mu, że będzie rzucał z dystansu, choć w rzeczywistości miał zamiar dwutaktem podejść pod kosz. Jednym zwodem mylił kryjącego go przeciwnika, sugerując mu, że dwutaktem podejdzie pod kosz, a gdy tylko przeciwnik cofał się o krok, zastawiając mu drogę, wykonywał rzut z dystansu. Słynny

był z tego, że potrafił sprzedawać kłamstwa: obrona przesuwiała się w prawo, on sam zaś spokojnie atakował z lewej.

Uzyskał stypendium do liceum Braci Chrześcijan i grał we wszystkich meczach reprezentacji klas pierwszych. Planował zdobyć kolejne stypendium sportowe, tym razem na uniwersytet św. Jana, a potem zrobić karierę w drużynie New York Knickerbockers. I wtedy spotkał pierwszego czarnoskórego koszykarza.

Chłopak miał blisko dwa metry, dzięki czemu miał do kosza prawie dwadzieścia centymetrów bliżej niż James Patrick O'Toole. Był też szybki jak wiatr i – cud nad cudami – potrafił zatrzymać się dosłownie w miejscu, wyskoczyć i trafić z siedmiu metrów. Cyferki na świetlnej tablicy przeskakiwały, nim gówniarz zdążył opaść na parkiet!

No to co – myślał sobie O'Toole. Nie ma nic złego w tym, że jest się drugim w hierarchii najlepszych graczy w mieście.

Ale kiedy następnym razem wyszedł na boisko, czarnych zawodników było już pięciu. A w następnym meczu dwudziestu. Każdy wysoki. Każdy szybki. I żadnego z nich ani razu nie udało mu się nabrać, nawet na najbardziej przekonywający ze zwodów. Pomyślał sobie, że handlarz niewolników, który znalazł tych gości w dżungli i uznał za doskonałych zbieraczy bawełny był oferumą jakich mało. Biedaczysko! Gdyby miał w głowie cokolwiek zrobiłby z nich bostońskich Celtów i zarobił trochę prawdziwych pieniędzy.

W każdym razie Murzyni ci przekonali O'Toole'a, że nie jest wielkim koszykarzem i że nie robi kariery w New York Knickerbockers.

Niemniej zakłady na wyniki meczów koszykarskich nadal pozostawały do wykorzystania i z nich O'Toole sfinansował studia. Wystarczyło tylko pochwalić jedną drużynę, poczekać, aż wieść się rozniesie, i obstawić inną. Zorganizował zakłady zbiorowe, miał nawet ludzi pracujących na innych kampusach, lecz wkrótce dwaj postanowili powielić jego metody. Pod prawą brwią pozostała mu blizna przypominająca o prostym fakcie: „nawet futbolista złapie w końcu bluesa, jeśli da mu się wystarczająco wiele czasu”.

Zmienił więc dyscyplinę na pokera, urzeczony gotówką, którą nawet najgorszy gracz skłonny jest zawsze rzucić na zielony stolik. Po raz kolejny jego dar sprzedawania łgarstw okazał się nieoceniony. Miał trójkę, lecz każdy patrzący mu w twarz wietrzył fula w asach. Napinając praktycznie niewidoczne mięśnie policzka, wyglądał żałośnie mając w ręku cztery asy.

Ludzie drogo płacili za to genialne przedstawienie.

Wkrótce w jego arsenale znalazły się i inne rodzaje broni. Odrobina treningu i już umiał zdejmować z wierzchu talii dowolną ilość kart: od jednej do pięćdziesięciu dwóch. Danie mu kart do potasowania było równie pewnym sposobem popelnienia samobójstwa co gra w rosyjską ruletkę rewolwerem z nabojem w każdej komorze. Potrafił rozdać cztery strity w kolorze i dać karety asów każdemu, wedle uznania. Kolejną lekcją była sztuka dawania tej karety różnym graczom w trakcie tej samej rozgrywki – licytacja wyglądała wówczas znacznie bardziej interesująco.

Mógł niewątpliwie zrobić karierę przy zielonym stoliku. To nic wielkiego – tłumaczył sobie – trzeba tylko przegrać parę razy w tygodniu, wyłącznie po to by złapać jelenia, a i wielkich wygranych należy się wystrzeżać, po co ściągać na siebie

zbędne zainteresowanie co groźniejszych zawodowców? Mimo to niezbyt zachłanny człowiek był w stanie zarobić w ten przyjemny sposób parę tysięcy tygodniowo.

A jednak w tym mniej więcej czasie O'Toole doznał objawienia. Wpłacał gotówkę w dyskretnym oddziale banku na granicy śródmieścia, kiedy zorientował się, że w zamian za pieniądze nie dostaje nic. Dał kasjerce prawdziwą forszę, kasjerka zaś przycisnęła tylko kilka klawiszy terminala i na monitorze ukazał się napis: „Dziękujemy”.

– To wszystko? – zainteresował się O'Toole. – Dałem pani tysiąc czterysta uczciwych dolarów i usłyszałem „Dziękujemy” od maszyny?

– Nasz oddział jest w pełni skomputeryzowany – odpowiedziała kasjerka, najwyraźniej szalenie z tego powodu dumna. – Wpłata została wprowadzona na pana konto.

O'Toole zamyślił się głęboko, rozważając to, czego właśnie był świadkiem. Na jego oczach forsa zmieniła stan z gotówki na serię elektronicznych impulsów i znalazła się pod opieką kręcącej głową krowy, na oko przysposobionej do zawodu przez szkołę z gatunku tych, co to reklamują się na pudełku zapalek! Zapomniawszy o wieczornej grze pobiegł do biblioteki. Następne dziesięć dni spędził na intensywnej lekturze podręczników technik komputerowych. Już nigdy nie zmarnuje czasu przesuwając banknoty tam i sam po zielonym suknie. Forsa to nie papier. Już nie. Prawdziwa forsa to zapis w komputerze.

Panowie Cobb i Toole dotarli w końcu do potoczku, który okazał się zamrażnięty. Walające się na obu brzegach matowe tafle świadczyły o niedawnej odwilży. Łód pękł też pośrodku, poprzez szczelinę płynął strumyk ciemnej wody, z trudem przeciskając się między jej brzegami. Cobb podniósł kołnierz płaszcza, po czym wsadził dłonie w kieszenie. Nie miał zamiaru nawiązać do głównego tematu swych odwiedzin, póki nie upewni się, że rzeczywiście są sami.

– Ile forsy Citibanku udało się panu zatrzymać? – spytał w końcu.

Chryste – pomyślał Toole – tylko nie to! Szybko jednak uświadomił sobie, że rząd nie wysłałby agenta z Bezpieczeństwa Narodowego, wypożyczonego Departamentowi Handlu, tylko po to by zadawał pytania, na które najoczywściej nie otrzyma odpowiedzi. Facet zwyczajnie się rozgrzewał.

– Oddałem, co wziąłem. – Oko mu błysnęło; Cobb powinien wiedzieć, że to kłamstwo.

– Doskonała robota. – Zaprzeczenie nie zrobiło na agencji najmniejszego wrażenia. – Citibank uważa, że zachował pan ze dwieście tysięcy. Niewiele ich to obezszło. Cieszyli się z tego miliona, który do nich wrócił. Nasi ludzie przejrzeni ich księgi. Wyliczyli, że zostawił pan sobie ze trzysta pięćdziesiąt. Ja osobiście myślę, że nie było tego mniej niż pięćset tysięcy.

Toole znalazł parę kamyków i bawił się, rzucając je w płynącą mimo mrozu wodę. Nie miał ochoty na rozmowę o Citibanku.

– Przejdźmy jeszcze kawałek – powiedział Cobb, wskazując w kierunku przeciwnym do więzienia. Sam też podniósł kilka kamyków, próbując z marszu pokonać rozmówcę w rzutach do celu.

Tak naprawdę Toole'owi udało się zatrzymać trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Tak naprawdę zwrócił milion dwieście. Bankierzy byli mu za to szczerze wdzięczni, a już zwłaszcza poruszyło ich to, że oddał więcej niż oznajmił, że ukradł. Nadwyżka plus pieniądze z ubezpieczenia w pełni zwróciły im straty. Nie obchodziło ich, że Toole zachował trochę gotówki dla siebie. Jako eksperci w dziedzinie finansów wiedzieli doskonale, że firmy ubezpieczeniowe i tak mają za dużo pieniędzy.

Pierwsze starcie Toole'a z komputerami nie odbyło się bynajmniej przy okazji Citibanku. Biblioteczne szaleństwo było tylko wstępem do bardziej systematycznego poznania komputerów, a tylko one go teraz interesowały. Zdobywał coraz więcej coraz bardziej technicznych informacji, przez semestr uczył się też programowania w szkole wieczorowej. Następnie złożył podania w kilku bankach, szukając pracy właśnie przy komputerach i ostatecznie wyładował przy IBM 370 Manufacturers Hannover. Jego koledzy po prostu pracowali na komputerach, ale pan James Patrick O'Toole robił znacznie więcej. Nieprzerwanie, cierpliwie, próbował zrozumieć, jak maszyna myśli.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, czego większość ludzi wydawała się nie rozumieć. Pieniądze przestały już być sztabkami cennego metalu, przestały być produkowanymi dużym nakładem sił i środków monetami. Pieniądze stały się jednostkami obliczania bogactwa. Miliarder nie miał miliarda dolarów ani pokoju wypełnionego sztabami złota. Miliarder był miliarderem, bo gdzieś, u kogoś, w jakimś komputerze zarejestrowana była informacja, że jest miliarderem. Gdyby wymazać tę informację, stałby się żebrakiem. Gdyby przypisać do niej inne nazwisko, ktoś inny zastąpiłby go na stanowisku miliardera.

A wszystkie te informacje wędrowały liniami telefonicznymi. Zwykłymi, wiszącymi na drewnianych słupach drutami, których wykorzystanie kosztuje dwadzieścia pięć centów za minutę. Bogactwo wędrowało z banku do banku, znikало z jednej firmy maklerskiej i pojawiało się w innej, przepływało między kupującym a sprzedającym, między obywatelem a państwem, między rządami... i wszystko to po tych samych liniach telefonicznych, z których korzystał jako dziecko, często często oszukując przyjazną kompanię Bell Telephone.

Toole rzucił bank, kupił sobie komputer osobisty Apple II i namówił dealera, by dorzucił mu w cenie modem, umożliwiający podłączenie go do linii telefonicznych. Przez dwa miesiące wchodził tylko w publiczne bazy danych, sprawdzając nudne fakty z dziedzin, na których kompletnie się nie znał. Zbierał doświadczenie w procedurach komunikacyjnych.

Następnie opracował algorytm, ułatwiający poszukiwanie haseł, generujący najpierw serie przypadkowych cyfr, a potem także liter. Trwało to nie dni, lecz tygodnie – w końcu jednak otrzymał hasło, umożliwiające dostęp do prywatnych baz danych. W istocie rezultat nie był wart włożonej pracy – akta nowojorskiego Specu ujawniły mu, na przykład, że program konserwacji kanalizacji opóźniony jest o trzydzieści sześć lat. Stosowanymi procedurami nie byłby w stanie skłonić systemu małej kasy pożyczkowej nawet do powiedzenia mu „cześć”, a o dużym banku nie miał nawet co marzyć.

Toole zmienił więc swój image. Zrzucił konserwatywny niebieski garnitur noszony do pracy w banku i kupił coś znacznie bardziej kosztownego: francuskie koszule i włoskie krawaty. Długi szary płaszcz zastąpiła krótka skórzana kurtka. Nie

wyglądał już na „mężczyznę pracującego”, lecz na „mężczyznę zamożnego”; wraz ze zmianą ubrań zmienił także nazwisko. Jamesa Patricka O'Toole zastąpił J.P. Toole.

Kobietom spodobало się to niemal do szaleństwa.

Swój wdzięk pan Toole włączał jednak tylko dla pewnego gatunku kobiet – sekretarek dyrektorów wyższych szczebli co większych nowojorskich banków, kobiet co do jednej wyzwolonych i czujących potrzebę podkreślenia obycia w świecie interesów. Większość z nich, upojona kolacją w „Palace” oraz wizytami w klubach pełnych sław, chętnie dyskutowała szczegóły życia zawodowego. Niektóre posuwały się do tego, że opisywały nawet sprytne procedury używane w ich firmach do ochrony kodów dostępu.

J.P. Toole trafił więc w końcu tam, gdzie trafić pragnął i mógł już stwierdzić, kto jest bogaty, a kto ubogi. Kolejnym krokiem było założenie sobie kont, małych kont na nieznaczne sumy. Obserwował przepływ pieniędzy, ucząc się, które transakcje system wychwytuje natychmiast, które docierają na miejsce i wylapywane są po kilku dniach, a którymi bank w ogóle nie zwraca sobie głowy. Ilekroć zaczynało mu brakować cierpliwości powtarzał: „Nikt nie jest doskonały”.

Co człowiek zabezpieczył, człowiek odbezpieczy.

Odkrycie niedoskonałości różnych systemów bankowych zabrało mu niemal rok.

Po roku mógł już skromnie zarabiać na inwestycjach. Dokonywał niewielkich przelewów, gromadził pieniądze na fikcyjnych kontach, dokonywał legalnego transferu do innego banku, a potem zamykał te konta, które zostały już wykorzystane. Jego legalne konto rosło wraz z transferami z rachunków, które znikwały, gdy tylko spełniły swe zadanie.

Pracował dalej, gromadząc zarobki w Citibanku, aż wreszcie elektronika mianowała go milionerem. W kilka godzin po tym, jak za nowo zdobytą fortunę zakupił zwolnione od podatku obligacje municypalne, odkrył, że generalnie niemrawe komputery bankowe jakby nieco się ocknęły. Instynkt, którego nabierał latami w zawodzie oszusta, kazał mu rzucić pieniądze i wiać. Nie zwiął jednak. Poppełnił jeden jedyny fatalny w skutkach błąd. Próbował zarobić na trefnym interesie.

Cobb zatrzymał się nagle i obejrzał na szare mury więzienia. Zdecydował, że odeszli wystarczająco daleko.

– Toole – powiedział, wrzucając w strumyk resztę zebranych kamyczków. – Mam propozycję, która powinna cię zainteresować... założywszy oczywiście, że po roku spędzonym w tej trupiarni cokolwiek jeszcze może cię zainteresować.

Toole również zerknął na więzienie.

– To wcale nie najgorsze miejsce – powiedział udając szczerość. Stwierdzenie to zostało oczywiście zignorowane.

– Będziesz miał okazję zrobić coś dla siebie i – jeśli wybaczysz mi te słowa – także dla swojego kraju. Coś bardzo ważnego... dla kraju.

J.P. skłonił głowę w geście pełnym szacunku.

– Proszę mi powiedzieć, co mogę zrobić dla siebie – zaproponował.

– Możesz opuścić więzienie, wrócić do prawdziwego świata. Zbierzesz rzeczy i wyjdiesz na wolność jeszcze przed najbliższym z tych tutejszych okropnych posiłków.

– Bardzo ciekawe. A jak długo mam pozostać na wolności?

– Twoje zadanie rozpoczyna się dziś i musi zostać ukończone w pierwszych dniach grudnia; przez czas jego wykonywania pozostaniesz pod kontrolą rządu. Kiedy się skończy, założysz oczywiście, że wszystko pójdzie dobrze, rząd zatrudni cię na kolejne osiemnaście miesięcy. W tym czasie kara dobiegnie końca, co oznacza, że nie będziesz musiał wracać za kratki.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze... – powtórzył Toole z głębokim namysłem.

– Jeśli będziesz z nami współpracował w dobrej wierze – wyjaśnił Cobb. – To wyjątkowo skomplikowana operacja. Może się nie udać, choćbyśmy wszyscy dali z siebie wszystko, i w takim wypadku nikt nie będzie nawet próbował oskarżyć o niepowodzenie ani ciebie... ani mnie... ani nikogo. Prosimy cię tylko o szczerą współpracę. Wykonasz dla nas pewną pracę, a potem – niezależnie od jej wyniku – osobiście dopilnuję, byś nie musiał odsiadywać reszty kary.

– To niezwykle wielkoduszne. – Czy Toole’a wyrażały bezgraniczną wdzięczność. – Jak przypuszczam, nie może pan wyjaśnić mi bliżej, na czym miałyby polegać ta operacja?

Cobb tylko się uśmiechnął.

– Rzecz jasna, nie wolno mi wchodzić w szczegóły. Nie poznasz ich, póki się do nas nie przyłączysz, a nawet wówczas powiem ci wyłącznie to, co niezbędne. Jak wspomniałem, prowadzimy poważną operację. Znacznie poważniejszą niż wszystko, czego próbowałeś z Citibankiem.

Toole już połknął haczyk i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Problem w tym, by Cobb nie dowiedział się, że on już połknął haczyk.

– Mam przelać nasz deficyt budżetowy na czyjeś konto? – zażartował.

– Nie całkiem. Ale skala jest podobna.

– Czy konieczne będą wyjazdy zagraniczne?

– Nie powinienem ci tego mówić, ale tak. Najbliższe dziewięć miesięcy spędzisz prawie wyłącznie poza granicami kraju.

– Gdzie?

Cobb tylko pokręcił głową.

– I tak powiedziałem więcej niż zamierzałem.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie znam języków obcych? – Toole wiedział, że musi się powyręcać.

– Zdaję. I proszę, nie próbuj nawet naciągnąć mnie na dodatkowe wyjaśnienia. Idziesz ze mną, czy zostajesz tu? Muszę pogadać jeszcze z paroma osobami.

Gówno prawda – pomyślał Toole. – Ja jeden wszedłem w Citibank jak w masło. Mnie potrzebujesz. Ale postarał się sprawiać wrażenie mocno przygnębionego.

– Przykro mi – powiedział, a potem uśmiechnął się dwuznacznie. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że zdecydował się pan zaapelować do mojego patriotyzmu. Problem w tym, że Harrisburg ma więcej gwiazdek w przewodnikach niż rosyjskie więzienia. I nie sądzę, by Rosjanie zechcieli łaskawie wypuścić mnie za dwadzieścia dwa miesiące. Więc chyba zdecyduję się zostać tu.

- Nie chodzi o Rosję – przyznał z wahaniem Cobb.
- Są inne barbarzyńskie kraje, ludowe Chiny, powiedzmy, albo na przykład Anglia. Wszystko jedno. Mam wybór między dwudziestoma dwoma spokojnymi miesiącami tu albo dziewięcioma niespokojnymi w jakiejś cholernej dziurze za granicą. Tu z pewnością będzie mi lepiej.
- Jest jeszcze coś – stwierdził agent. – Wiem, że radośnie odsiedzisz resztę wyroku ze świadomością, iż na wolności czekają na ciebie duże pieniądze, ja mogę ci jednak zagwarantować, że nigdy już ich nie zobaczysz. Ani centa. Odmów mi, jeśli chcesz, a moi ludzie będą na ciebie czekali przed bramą. Będą chodzić za tobą, pójdą nawet na twój pogrzeb. Gdy tylko zdecydujesz się wydać cokolwiek z forsy Citibanku, natychmiast wrócisz tu na kolejne trzy lata.
- Niezbyt miła perspektywa – zakpił Toole.
- Z drugiej strony, jeśli mi pomożesz, zapomnimy, że masz jakieś pieniądze. Kiedy skończymy, będziesz wolny. Ciesz się wolnością; ja o żadnej forsie nawet nie chcę wiedzieć.
- Nie ma żadnej forsy – zęgał Toole. – A gdyby nawet istniała, nie tknąłbym jej, proszę pana. Proszę zrozumieć, ja się zmieniłem. Dzięki duchowej opiece, którą otoczono mnie w Harrisburgu, odrzuciłem styl życia, jakiemu hołdowałem w przeszłości. – W tym momencie skromnie spuścił wzrok. – W rzeczywistości myślę o kapłaństwie – wyznał.
- Cobb roześmiał się serdecznie.
- Toole, pieprzysz w bambus! Ale możesz nam pomóc, a my potrzebujemy pomocy.
- Koniec z przyjacielską perswazją – przestrzegł sam siebie Toole.
- Wykładam na stół wszystkie karty – mówił dalej Cobb. – Rząd upoważnił mnie do wypłacenia ci honorarium. Założyłem, że pieniądze nie mają dla ciebie wielkiego znaczenia, więc najpierw zaproponowałem wolność. Sądzę jednak, że jedno nie musi wykluczać drugiego. Pomożesz mi... i masz wolność tudzież to, co ci zostało z Citibanku. Rząd pozwolił mi zaoferować dodatkowo sto tysięcy. Zostaną złożone natychmiast w każdym wskazanym przez ciebie banku.
- Całe sto tysięcy. Za pomoc w rozwiązaniu problemu wielkiego jak deficyt budżetowy, rząd skłonny jest zapłacić mi całe sto tysięcy! Prawie tyle, co za wypolerowanie sreber z kredensu na prezydenckim jachcie...
- Sto pięćdziesiąt.
- Och, przecież nie chodzi mi o pieniądze! Próbuję tylko zorientować się, jaką wagę rząd przywiązuje do tej szczególnej misji.
- Dwieście. Jeszcze jedno słowo i pozostanie ci wyłącznie gnienie w pudle.
- Że nie wspomnę o moim osobistym bezpieczeństwie. To znaczy, nie przewidzieliście chyba panowie grupowego ubezpieczenia na życie dla tej drużyny którą zbieracie?
- Dwieście pięćdziesiąt i sam sobie wykup ubezpieczenie na życie!
- Tylko wezmę rzecz.
- To coś większego niż Citibank – myślał Toole zabierając ubranie, w którym trafił do więzienia: kurtkę z miękkiej wielbłądziej wełny, ciemnobrązowe spodnie, beżową tkaną koszulę, plecione półbuty. A Citibank wcale nie był mały. Zonglował po bankowych komputerach sumą pięćdziesięciu milionów dolarów, nim wy-

cisnął dla siebie półtora miliona i zaczął je przelewać do innych banków. Potem zignorował jednak pierwotny instynkt oszusta, zrobił się zachłanny. „Tym razem mądrzej to rozegram” – obiecał sobie.

Przeszedł przez bramę, ruszył w stronę samochodu, w którym czekał na niego Cobb.

Jechali krętą wiejską drożką, prowadzącą z więzienia w stronę wielkiego rozjazdu autostrad. Cobb uśmiechał się, najpierw niewyraźnie, potem szeroko, aż wreszcie wybuchnął szczerym śmiechem.

– Chyba lubi pan swoją pracę – zauważył Toole. – A w jaki właściwie spokój zapewnia pan bezpieczeństwo narodowi? Nie wygląda pan na człowieka zdolnego do miażdżenia jąder i wyrywania paznokci.

Mimo wyraźnie widocznego rozbawienia, Cobb zdecydował się udzielić odpowiedzi.

– Sam jestem kimś w rodzaju oszusta – przyznał. – Oczywiście, daleko mi do ciebie, ale i tak zdołałem cię naciągnąć na dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Toole przybrał zdumiony wyraz twarzy.

– Otrzymałem upoważnienie do zapłacenia ci pół miliona.

– Mój Boże!

Cobb skinął głową.

– No, tak. Pół miliona, a ty zgodziłeś się na ćwierć. Obniżyłeś loty.

Toole zacisnął wargi.

– Chyba wyszedłem z wprawy – przyznał. – Oczywiście, powinienem oddać panu sprawiedliwość. Rozegrał pan to przepięknie. Nie dzieli nas wcale tak wiele.

Umilkł i pozwolił agentowi rozkoszować się tryumfem.

Ty cholerny idioto – myślał. Sam zapłaciłbym ci dwieście pięćdziesiąt tysięcy, byleby tylko wyleźć z tego bagna.

Mimo wszystko bardzo starał się sprawiać wrażenie upokorzonego.

7 kwietnia, 12.30, Waszyngton, DC

Cobb okrążył kwartał ulic dwukrotnie, nim otworzył żelazną bramę, wszedł po trzech stopniach i stanął przed drzwiami prowadzącymi do wnętrza miejskiej rezydencji sekretarza stanu. Prawdopodobnie przesadzał z ostrożnością. Nawet najbardziej bezczelniejsi fotografowie i najnędniesze dziennikarzyny, polujące na okazję przed domami osobistości rządowych, nie pracowali w soboty, niemniej każdy odwiedzający sekretarza stanu stawał się tym samym ofiarą prasy, gotową na odstrzał. Dziennikarze znali regularnych gości i nie krępowali się bynajmniej w spekulacjach, gdy trafili jakiegoś ambasadora lub dygnitarza zza granicy. Czepiali się niemal wyłącznie ludzi, których nie znali; atakowali ich, domagając się informacji, jakby każdy spotykający się z osobą publiczną rezygnował tym samym z prawa do prywatności.

Drzwi otworzył lokaj i nim gość zdążył się przedstawić powiedział:

– Dzień dobry, panie Cobb. Sekretarz prosi, by zaczekał pan na niego w pokoju gościnnym. Za chwilę do pana dołączy.

Gdy tylko Cobb znalazł się w środku, natychmiast zorientował się, że dom ten wyszukano specjalnie dla sekretarza. Był on początkującym politykiem bez żadnych cech szczególnych, przemysłowcem, któremu stanowisko załatwili sponсорzy oraz zawodowe sukcesy w wydzieraniu bogactw mineralnych narodom nieuprzemysłowionym. Facet, produkt z taniego plastiku i chromu, umeblował sobie mieszkanie tak, by świadczyło o tradycji pokoleń, historii przez duże „H”.

Na podłodze stał wielki globus ozdobiony zarysami kontynentów w kolorze sepii i w takich, jakimi oznaczano je w XVI wieku. Idealny rekwizyt dla kogoś, kto udaje architekta świata, choć pan sekretarz zasłynął skierowanym do swego sekretarza, który przyniósł mu do podpisania kontrakt na eksploatację złóż rud metali, pytaniem: „A gdzie, do kurwy nędzy, jest ten Czad?”. Na półkach stały pierwsze wydania dzieł historycznych: „Układ w Almutz” z komentarzami, „Wyjątki z Waszyngtońskiej Konferencji Morskiej”, „Wspomnienia z Hagi”. Cobb miał wątpliwości, czy ktokolwiek w Waszyngtonie czytał coś takiego, a jeśli nawet, to panu sekretarzowi nie lektury umilały noce. Przy ścianie stało niepraktyczne biurko z mosiężną plakietką identyfikującą je jako pochodzące z domu Woodrowa Wilsona w Princeton, przy biurku zaś bujany fotel oznajmiający wszem i wobec: „Siadywał na mnie John Kennedy”. Nietrudno było wyobrazić sobie rozmowę, jaką pan sekretarz miał ze swym asystentem, gdy dowiedział się, że został sekretarzem.

– Tylko pamiętaj, dom ma być drogi, w najlepszej dzielnicy miasta. I niech księgowi sprawdzą umowę, musi się odliczyć od podatku!

– Czy chciałby pan porozmawiać z dekoratorami?

– A po cholere? Powiedz im tylko, że szykują go dla sekretarza stanu i niech lepiej wygląda jak rezydencja sekretarza stanu.

Dom wyglądał jak rezydencja dekoratora przekonanego, że jest sekretarzem stanu.

Cobb nienawidził pułapek rządu i pretensji jego przedstawicieli, zarówno tych wybranych, jak i mianowanych. Wszyscy bez różnicy nic tylko się popisywali, gra-

li dla ograniczonych wyborców, których próżność musieli głaskać, by osiągnąć jakąkolwiek pozycję, więc z konieczności bardziej interesowali się tym, by sprawić wrażenie, że coś robią niż rezultatami swej pracy. Klęski wręcz ich cieszyły... pod warunkiem, że można było nadać im pozór zwycięstw.

Rezultaty, o czym Cobb wiedział doskonale, zależały od jego tajnego rządu, z założenia operującego poza zasięgiem oka i ucha zwykłych obywateli. Nikt nie wybrał jego przedstawicieli na zajmowane stanowiska, więc nie musiał się nikomu tłumaczyć. Funkcjonariusze CIA i Agencji awansowali dzięki odnoszonym w pracy sukcesom i płacili za niepowodzenia. Byli mięśniami narodu.

Z sukcesów cieszyli się jednak w tajemnicy. Z definicji nikt nie miał prawa o nich wiedzieć. Publicznie oznajmiono tylko klęski – robili to wybrani oficjele, którym instytucje te służyły, a którym rozkosz sprawiało oznajmianie o ich „wybrykach” oraz mianowanie nadzorujących je „z ramienia narodu” komisji. Od tej hipokryzji aż chciało się rzygać. W czasach kryzysu patrzyli na ów tajny rząd z nadzieją, że zrobi za nich brudną robotę. Jeśli Cobbowi i jego kolegom się udało, politycy zjadali słodkie owoce zwycięstwa, a ich smak przypisywali swej rozsądnej polityce. Jeśli nie, ci sami politycy publicznie wpadali we wściekłość z powodu „nadgorliwości” swych podwładnych i wszczynali dochodzenie mające upewnić wyborców, że ich wola nigdy już nie zostanie pogwałcona.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł sekretarz.

– Cobb? – spytał. – Nigdy o panu nie słyszałem. I nikt z mojego personelu też.

Wejście to obliczone było na wstrząśnięcie urzędasem, zmuszenie go, by drżącym głosem usprawiedliwiał się ze swego istnienia.

– I tak powinno być – odparł Cobb, wyciągając rękę dopiero wtedy, gdy z twarzy sekretarza znikł wyraz całkowitej pewności siebie. – Wiedzą o mnie tylko ci, którzy muszą o mnie wiedzieć. Pan, aż do dziś, nie musiał.

Sekretarz oprzytomniał względnie szybko.

– Cholera jasna, ale przecież muszę wiedzieć, dlaczego proste pytanie skierowane do Departamentu Sprawiedliwości trafia wprost do prokuratora generalnego i dlaczego prokurator obdarza mnie panem zamiast odpowiedzi.

Mówiąc to otworzył podwójne, sięgające sufitu drzwi i gestem zaprosił gościa do jadalni, gdzie wszystko było już przygotowane do posiłku.

– Możemy porozmawiać przy lunchu – oznajmił. – Cały ten pokój izolowany jest siatką miedzianą, żeby zabezpieczyć go przed podsłuchem. Tak dobrze to zrobili, że nawet cholerne radio nie chce tu grać!

Lokaj był przygotowany na wszystko, właśnie odstawiał krzesło na którym miał usiąść gość.

– Czego się pan napije?

– Martini. – Agent miał przez moment ochotę poprosić o gin marki, której sekretarz nie miał w domu, ale zrezygnował świadom, że będzie jeszcze wiele okazji, by wskazać temu człowiekowi właściwe miejsce.

Kiedy tylko zasiedli za stołem, sekretarz natychmiast spojrzał na zegarek.

– Przejdźmy do rzeczy – zaproponował krótko. – Kim pan do diabła jest i dlaczego niby mam właśnie z panem rozmawiać, by dowiedzieć się co Departament Sprawiedliwości robi ze śledztwem w sprawie szpiegostwa przemysłowego?

– Signet to szczególny przypadek – stwierdził Cobb.

– Signet? Aha, Signet. Ta firma z Kalifornii, która dała się przyłapać na kradzieży japońskiego oprogramowania?

– O nią pytał pan departament – upewnił go gość.

Sekretarz pokręcił głową, wznosił widelec i wbił go w pasztet. Cobb wziął to za zaproszenie i również uniósł widelec.

– Tyle tego jest – stwierdził sekretarz z rozpaczą. – Nie sposób się połapać. Założę się, że mamy z tysiąc skarg od różnych rządów, a wszystkie dotyczą szpiegostwa przemysłowego i naruszenia praw patentowych. Założę się, że mamy z milion spraw, w których nasze firmy oskarżają o to obce. Najwyraźniej badania naukowe zastąpiła kradzież rozumiana jako metoda udoskonalania produktu!

– Doskonały pasztet.

– W zasadzie jest to problem mojego personelu. Nie ma cudów, nie jestem w stanie sam się we wszystkim połapać. Ale Signet doprowadził Japończyków do białej gorączki. Złapali szpiega i skonfiskowali taśmy z zapisem ich największych sekretów komputerowych. Zdobyli także adres w Kalifornii, pod który miały być wysłane te taśmy. To prosta sprawa, chcąc żebyśmy załatwili ją jak najszybciej.

– Doskonale ich rozumiem – zgodził się ze współczuciem Cobb.

Przerwał im lokaj, przynosząc martini dla gościa i podwójne martini dla sekretarza. Postawił kieliszki na stole, zebrał talerze po przystawkach i znikł.

– No, więc Japończycy domagają się, żebym coś z tym zrobił, więc ja domagam się od moich ludzi, żeby coś z tym zrobili i wciągnęli w to Departament Sprawiedliwości. Departament stoi murem i piłka odbija się do mnie. Zamiast odpowiedzi dostaję pana... – wskazał Cobb nożem. – Faceta z... Departamentu Handlu? Kto do diabła robi karierę w Departamencie Handlu?

Cobb uniósł martini pod światło, jakby brał udział w wyjątkowo ważnym eksperymencie chemicznym.

– Jestem u nich tylko czasowo – przyznał obojętnie, nie przerywając obserwacji kieliszka. – Nie dla nich pracuję.

– A dla kogo? – Sekretarz zdradzał pierwsze objawy zniecierpliwienia. Żaden z jego podwładnych nie miał prawa z nim igrzać. Już miał otrzymać odpowiedź, kiedy otworzyły się drzwi i pojawił się lokaj dźwigając na ramieniu dwa talerze przykryte srebrnymi paterami. Sfrustrowany sekretarz podleczył skołatane nerwy martini.

Podczas ustawiania talerzy i usuwania pater, kryjących pieczoną pierś kurczaka ze świeżymi brokułami, nie rozmawiali.

– Podane doskonale – orzekł Cobb. Lokaj podziękował mu za ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

– Sam zajmę się winem – oznajmił sekretarz, tym samym rozkazując swemu człowiekowi, by wyniósł się z pokoju. Wyjął butelkę chablis z wiaderka z lodem i napełnił kieliszki, odpowiadając przedtem rytuał wachania i kosztowania, po czym zakorkował butelkę i cisnął ją z powrotem do wiaderka.

– No, więc, skąd pan się tu wziął?

Gość przesunął kieliszek pod nosem, a następnie uniósł go lekko, pod światło.

– Agencja – powiedział niedbale.

– Agencja Bezpieczeństwa Narodowego... i praca w Handlu?

Agent skinął głową, nadal zajęty zawartością kieliszka.

– Wspaniały kolor – orzekł. – Wie pan, naszego prezydenta krytykuje się mocno za wspomaganie win kalifornijskich, lecz moim zdaniem niektóre z nich są znacznie lepsze od francuskich.

– Cobb – szepnął sekretarz, gotujący się wręcz z niecierpliwości – gdybym chciał oceny mej kuchni, zaprosiłbym krytyka kulinarnego z „Post”. Teraz chcę tylko wiedzieć, co banda komputerowych złodziei, ukrywająca się pod nazwą Signet Corporation, ma wspólnego z Narodową Agencją Bezpieczeństwa.

Cobb uniósł kieliszek do ust.

– To my jesteśmy Signet Corporation – stwierdził i z satysfakcją zarejestrował brzęk upuszczanego przez sekretarza widelca. – No, może nie do końca, ale jesteśmy właścicielami Signet. Akcjonariusze tej firmy nie istnieją.

– Rząd jest właścicielem Signet Corporation... firmy, którą każą nam zniszczyć Japończycy?

Cobb gwałtownie pokręcił głową.

– Nie rząd! Nie znajdzie nas pan w aktach Rządowego Biura Księgowego. To swego rodzaju tajna operacja; ABN uruchomiła ją z niejawnych funduszy.

Sekretarz odsunął talerz grzbietem dłoni. Najwyraźniej stracił apetyt.

– Jezu Chryste! – zawiódł modlitewnie. – To co mam powiedzieć Japończykom?

Jego gość delektował się kurczakiem.

– Proszę powiedzieć im, że rozumiemy ich niepokój i że dokładnie przeszukamy nasze podwórko; zrobimy wszystko, by odkryć, kto próbował ukraść ich przemysłowe sekrety. Proszę im także obiecać naszą pełną współpracę.

– W zdemaskowaniu rządu Stanów Zjednoczonych – uzupełnił sarkastycznie sekretarz.

I tym zdenerwował gościa, który odłożył widelec, splótł dłonie na stole i spojrzał mu wprost w oczy.

– Nie. Powiemy panu dokładnie, co trzeba powiedzieć Japończykom i co pan zrobi, by dotrzymać danego im słowa. Ujęcie agenta nie kończy działalności Signet. W rzeczywistości raczej ją rozpoczyna. W operacji, którą zaplanowaliśmy, ma pan do odegrania bardzo ważną rolę.

– Mam grać rolę w szpiegowaniu Japonii? Chce pan, by Departament Stanu włączył się w szpiegostwo przemysłowe przeciw swemu wypróbowanemu sojusznikowi? Oszałał pan?

Urok obiadu nie maskował już celu rozmowy. Teraz chodziło o to, kto komu przegryzie gardło.

– W tym właśnie rzecz. Bez pomocy Departamentu Stanu – pańskiej i kilku spośród pana najważniejszych współpracowników – operacja ta nie ma szansy powodzenia. A w tym szczególnym przypadku nie wolno nam dopuścić do klęski.

Sekretarz powoli zwinął serwetkę. Mrozącego spojrzenia ani na chwilę nie spuścił z twarzy gościa.

– Panie Cobb, nim wyproszę pana z mego domu, chcę się upewnić, że coś pan zrozumiał. Chcę by rozumiał pan, że całe życie spędziłem w świecie wielkich interesów i że... pod wpływem konkurencji, powiedzmy... nie zawsze postępowałem

etycznie. Nie jestem moralistą. Uważam się za człowieka praktycznego. Uznaję konieczność prowadzenia tajnych akcji i choć nie pochwalam ich, nauczyłem się, że czasami warto... powiedzmy... przymknąć oczy. Ale nie mam zamiaru przymykać oczu na działalność bandy szaleńców, wprowadzających w życie jakiś nie dopieczony plan, mogący narazić na szwank dobre imię mojego kraju! Czy to jasne?

– Rozumiem pańskie zastrzeżenia – stwierdził spokojnie Cobb.

– Do dupy z zastrzeżeniami! Ja się właśnie wściekłem! I nie sądzę, by pan to rozumiał. Ale wkrótce pan zrozumie, proszę mi wierzyć na słowo. Gdy tylko przekroczy pan próg mego domu, natychmiast dzwonię do prezydenta. Mam zamiar powiedzieć mu dokładnie to, co pan powiedział mnie i mam jeszcze zamiar zażądać, by wykurzył pana oraz wszystkich pańskich współpracowników jak lisy z jamy, niezależnie od tego czy kryjecie się w Departamencie Handlu, w ABN czy w skautingu!

– Jeśli ma pan pod ręką telefon, zadzwonię do prezydenta sam.

Sekretarz zdążył zerwać się na równe nogi.

– Ty gładki mały gówniarzu... – dławił się własnymi słowami.

– Niech pan siada, panie sekretarzu. – W tonie agenta brzmiał wyraźny rozkaz. Sekretarz próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Ze zdumieniem stwierdził, że posłuchał polecenia i że właśnie usiadł.

– Zakładam, że rozumie pan, iż prezydent wolałby utrzymać swój urząd tak daleko od tej sprawy, jak to tylko możliwe. Jeśli jednak zażąda pan jego oficjalnego potwierdzenia, nie będę miał wyboru. Zadzwonię do niego sam.

– Prezydent... prezydent wie o Panu? – jąkał się sekretarz. – Prezydent... się zgadza?

– Nie cieszy go szczególnie to, czego próbujemy dokonać, ale, jak pan, jest człowiekiem praktycznym. To, co robimy z Signet Corporation, jest zapewne równie ważne – jeśli nie ważniejsze – niż projekt Manhattan. Dotyczy żywotnych interesów naszego narodu. Prezydent rozumie, że zaangażowaliśmy się właśnie w najważniejszy wyścig, w jakim dotychczas braliśmy udział.

– Ścigamy się z Japończykami? Naszymi sojusznikami? Naszymi przyjaciółmi? Przecież nie mówi pan o Rosjanach albo... – Na próżno szukał nazwy innego kraju równie niebezpiecznego dla Ameryki jak Rosja.

– Nie konkurujemy z Rosjanami – wyjaśnił spokojnie Cobb. – Rosjanie zostali tak daleko w tyle że konkurują już wyłącznie z białymi niedźwiedziami. Och, oczywiście, mogą wymazać nas z mapy, a my możemy wymazać z mapy ich, ale nie jest to szczególnie prawdopodobne. Prawdopodobne wydaje się natomiast, że nasi przyjaciele Japończycy za pomocą swej techniki wymażą nas z mapy państw wysoko uprzemysłowionych.

Wyraz napięcia znikł z twarzy sekretarza, zaciśnięte usta skrzywiły się w wesołym uśmiechu.

– Jezu Chryste, i to jest ten pański projekt Manhattan? Japońska technika? Telewizory i te ich małe samochodziki są ważniejsze od rosyjskich rakiet? Jezu, Cobb, pana miejsce jest rzeczywiście w Departamencie Handlu. Każdy z tych tam urzędasów śni koszmara o rosnącym deficycie handlowym. Gdybyśmy nie mieli pod ręką Japończyków, martwilibyśmy się pewnie Niemcami albo Anglikami!

Cobb zignorował rozbawienie rozmówcy.

– Anglicy – stwierdził sucho – nie potrafią zrobić samochodu, od którego nie odpadłyby błotniki. A Niemcom nie przyszło do głowy nic nowego od czasu, kiedy zbudowali volkswagena. Walka toczy się między dwoma przeciwnikami – nami i Japonią. A Japończycy właśnie szykują się do nokautu.

– Obniżą ceny magnetofonów! – zawył sekretarz. Tak bardzo spodobał mu się ten żart, że poczuł nadchodzący atak czkawki i czym prędzej sięgnął po szklankę z wodą.

– Panie sekretarzu, co pan wie o komputerach?

Szklanka zawisła w pół drogi do ust.

– O komputerach? Całkiem sporo. No, nie o tym, na jakiej zasadzie działają. Wiem, jak ich używać. Mamy komputery w księgowości, wypełniają nawet formularze podatkowe.

– Formularze podatkowe! – skrzywił się Cobb.

– No, cóż, oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że mogą mieć jeszcze wiele innych zastosowań. Chryste, te cholery rozmawiają nawet z człowiekiem przez telefon. Przypuszczam, że wszędzie już ich pełno. W każdym razie w Waszyngtonie. Ale... o co panu chodzi?

Cobb wstał i podeszedł do stojącej przy ścianie szafki. Podniósł wieczko na pudełku cygar.

– Mogę? – spytał wybierając cygaro. Sekretarz tylko skinął głową. Gość odbył rytuał lizania i odgryzania końca, po czym zapalił, używając stojącej na stole zapalniczki. – Kubańskie? – spytał podejrzliwie.

– Prezent od ambasadora Chin – przyznał sekretarz.

Agent wygłosił swój monolog, spacerując po pokoju.

– Komputery, panie sekretarzu, napędzają nasz uprzemysłowiony świat. Nie chodzi mi tylko o to, że rejestrują nasze wydatki, że płacą rachunki. Mam na myśli dosłownie „napędzają”, jak benzyna napędza silnik samochodowy, jak elektryczność napędza pociąg. Usuńmy silnik i samochód nigdzie nie pojedzie. Usuńmy silnik i pociąg staje w szczyrim polu. Gdybyśmy usunęli komputery, świat przemysłowy zamarłby w miejscu.

– Prawdopodobnie ma pan rację. – Sekretarzowi nie chciało się dyskutować tak błahej sprawy.

– Nie „prawdopodobnie” – poprawił go Cobb. – Mam całkowitą rację. Każdy z nas, w każdym dniu życia, ma do czynienia z komputerem. Komputery nadzorują nasze konta bankowe. Komputery wystawiają nam rachunki w sklepach, komputery – mówiąc pańskimi słowami – rozmawiają nawet z nami przez telefon. No, więc zakładamy, że wiemy o nich wszystko. Nie chce się nam jednak zastanowić nad kwestią najprostszą – jak bardzo się od nich uzależniliśmy. Weźmy, na przykład, nasz przemysł. Komputery prowadzą studia przygotowawcze do produkcji, projektują produkt, rysują plany. Nadzorują maszyny tworzące narzędzia produkcji, a następnie narzędzia produkcji produkujące produkt. Tak więc ten, kto ma lepsze komputery, będzie miał najlepszy i najbardziej wydajny przemysł.

Sekretarz skinął głową i czekał w milczeniu, Cobb zaś zaciągnął się cygarem, posmakował dym, po czym wypuścił go w powietrze niebieskawą chmurką.

– Komputery rządzą także całością naszych finansów. Komputery nadzorują wszystkie krajowe transakcje finansowe i wszystkie zagraniczne transakcje walu-

towe. Pieniądz przestał istnieć! Istnieją tylko zapisy w pamięci komputerów, przekazywane z kraju do kraju łączami komunikacyjnymi nadzorowanymi przez... komputery! Banki, które zainwestowały w komputery, są teraz największymi bankami świata. Można więc bezpiecznie założyć, że kraj dysponujący najlepszymi komputerami stanie się finansowym centrum świata. Jego waluta będzie główną walutą wymiany międzynarodowej.

Sprawa staje się znacznie jaśniejsza, jeśli spojrzeć na kwestie bezpieczeństwa narodowego. Wszystkie dostępne nam, istotne strategicznie informacje zbierane są przez satelity, które wystrzeliwują i kontrolują na orbicie komputery. Nasze rakiety zostały wycelowane przez komputery, komputery je także wystrzela. Komputery pilotują wszystkie nasze odrzutowce, prowadzą nawigację łodzi podwodnych... Chryste, są nawet wbudowane w czołgi!

Sekretarz skinął głową zaznaczając, że wie, do czego zmierza ta przemowa.

– Tak więc lepsze komputery oznaczają całkowitą przewagę militarną.

Cobb uśmiechnął się.

– Dokładnie tak, panie sekretarzu. Wiek przemysłu się skończył. Wchodzimy w erę informatyczną. W tej erze rządzić będzie ten naród, który dysponuje najdoskonalszymi komputerami. Wiem, oczywiście, że twierdzenie to sprawia wrażenie daleko idącego uproszczenia, niemniej jest całkowicie prawdziwe. Brytyjczycy wymyślili silnik parowy i dzięki temu przez blisko sto lat rządili światową gospodarką. My wymyśliliśmy taśmę produkcyjną, co dało nam światową przewagę na dwa pokolenia. W tej chwili rozstrzyga się, które państwo zdobędzie dominację na kilka następnych.

Sekretarz spojrzał na niego podejrzliwie.

– Mam wrażenie, że nieco pan przesadza.

Agent przez kilka chwil zajmował się luźnymi liśćmi cygara.

– Przesadza? Nie, nie sądzę. Proszę pozwolić, że przytoczę panu jeden przykład. Jak pan sądzi, jaką bronią będzie się walczyło w przyszłej wojnie?

Sekretarz wzruszył ramionami.

– Jądrową? – zaryzykował.

Cobb tylko pokręcił głową.

– Nie, nie jądrową. I nawet nie konwencjonalną. Po co tracić czas na wysadzanie w powietrze jakiejś fabryki, jeśli wystarczy wymazać pamięć jej komputerów? Wystarczy załatwić komputery i załatwia się całą fabrykę. Wystarczy wymazać pamięć, a fabryka traci zdolności produkcyjne, łączność z dostawcami części, kontrolę nad finansami. Jeśli wyłączy się komputery, wyłącza się cała ekonomia danego kraju z dodatkiem jego zdolności obronnych. Wyłączenie komputerów w ciągu kilku godzin zmieniłoby Stany Zjednoczone w ślepego giganta, bełkoczącego i potykającego się o własne nogi.

– I pana zdaniem Japonia jest w stanie wyłączyć nasze komputery? – spytał z niedowierzaniem sekretarz.

Cobb niedbale machnął ręką.

– Z pewnością nie. Próbuję tylko coś udowodnić. Ktokolwiek zdobędzie przewagę w komputerach, stanie się potęgą na najbliższe stulecie. Komputery gwarantują przewagę, której nie gwarantuje broń atomowa. Z tego właśnie powodu najważniejsze jest, by Stany Zjednoczone utrzymały prymat w technologiach kompu-

terowych. Po prostu nie możemy pozwolić nikomu, nawet „wypróbowanym sojusznikom” na odebranie nam tego pierwszeństwa.

Sekretarz sięgnął po butelkę. Bardzo uważnie napełnił oba kieliszki. Cobb wygodniej rozsiadł się w krześle.

– A co Signet ma z tym wspólnego? Sądzi pan, że Japończycy zagrażają naszej przewadze komputerowej?

– Nie sędzę. Wiem. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nasz przemysł poświęcił wszystkie swe wysiłki wyprodukowaniu superkomputera. Brakuje nam jeszcze co najmniej dwóch lat. Japończycy zaprezentują swój superkomputer w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy.

Sekretarz zgubił się chyba w tym wywodzie.

– Superkomputer? – powtórzył.

– Chodzi o zupełnie nowy rodzaj komputera – wyjaśnił Cobb. – Takiego, który, zamiast wykonywać polecenia po jednym, dysponuje inteligencją pozwalającą na rozbięcie problemu na składniki logiczne, procesowane jednocześnie. Tak na początek, jest on dziesięciokrotnie szybszy i wydajniejszy od maszyn, które wytwarzamy dziś. Superkomputer ma się do normalnych komputerów tak, jak odrzutowiec do samolotów napędzanych śmigłem. Jeśli chodzi o skuteczność działania, po prostu nie ma porównania.

– I my chcemy go ukraść – szepnął sekretarz.

– Nie, chcemy go zniszczyć. Musimy opóźnić ten projekt o kilka lat, tyle, ile potrzebujemy, by dogonić konkurencję.

Sekretarz zbłądł. Kiedy podnosił kieliszek, dłonie mu drżały.

– Zupełnie jak Pearl Harbor – powiedział, próbując coś zrozumieć – tylko tym razem to my zaatakujemy z zaskoczenia.

Cobb z uśmiechem potwierdził jego najgorsze podejrzenia.

– Zupełnie jak Pearl Harbor... pod pewnymi względami. Rzeczywiście, całkiem niezłe porównanie.

– Przecież to dokładnie to samo gówno! Zaatakujemy ich z zaskoczenia! – sekretarz niemal bełkotał.

Agent pokręcił głową.

– Są pewne różnice – stwierdził z przekonaniem. – Flota Pacyfiku dała się przeliczyć na tyle a tyle tysięcy ton stali, więc łatwo ją było zniszczyć. Jeśli chodzi o superkomputer, to składa się on nie tylko z tego co widać. Najważniejsza jest wiedza, a wiedzy zniszczyć nie sposób. Jedyne sposoby, by zatopić informację, to jest skompromitowanie jej. Jeśli chcemy sprawić, by ludzie przestali w coś wierzyć, należy zrobić głupców z tych, co wierzą. To znacznie trudniejsze niż zrzuć bombę albo coś podobnego.

– Ale zasada pozostaje ta sama. Przeprowadzimy skryty atak gwałcący wszystkie zasady przyzwoitości, niezależnie od tego, jaką formę przybierze. Nie mogę się na to zgodzić. Nie mogę wziąć udziału w...

– Nim się pan zdecyduje, panie sekretarzu, pozwolę sobie poprosić pana, by rozważył pan konsekwencje wyprzedzenia nas przez Japończyków. Niech pan rozważy, co stanie się ze Stanami Zjednoczonymi, jeśli pozwolimy, by zmieniły się w kolejną byłą, upadłą potęgą przemysłową. Mój Boże, jest ich wiele próbują-

cych bronić tego, co określamy mianem „cywilizacji”. To Stany Zjednoczone utrzymują przecież w wolności Europę, a jesteśmy do tego zdolni wyłącznie dzięki naszej potędze przemysłowej. Jeśli jej zabraknie... co, pana zdaniem, stanie się z Zachodem? Kto, pana zdaniem, będzie bronił Niemiec, Włoch, Francji i Anglii? Japończycy?

– Lecz jeśli dowiedzą się, co zrobiliśmy, jeśli świat zda sobie sprawę z tego, jak bardzo poniżyła się Ameryka...

– Japończycy nigdy nie dowiedzą się o tym, co zrobiliśmy – stwierdził pewnie Cobb, pochylając się nad stołem. – Ponieważ nie mamy zamiaru zrobić nic.

Sekretarz nie pojmował już niczego, co jego gość powitał z nie udawaną radością.

– Dzięki korporacji Signet oraz dzięki pańskiej pomocy, panie sekretarzu, Japończycy sami to sobie zrobią. Japończycy zniszczą swój superkomputer sami!